

Stanisław Horak
MŁYNY VAN GOGHA (fragment)
„Współczesność” 1960, nr 20

Opuszcza nas plama światła kłębi się woda nieba
krzew krwawi jesienią obłądny
opada burzy liść
zachwiane dzwonnice śpiewają dłoń namacała ślad wiatru
nad głową młyny mrok miał który zalewa oczy
Tu zostać do końca błysku co ziemię przytłoczy rozłamię
Co cień zdmuchnie kwiaty roztopi ikony chmur[...]

Janusz Stanisław Pasierb
VELDEN MET BLAUWE LUCHT
(z tomu *Butelka ledejska*, 2003)

w ostatnim roku życia
van Gogh maluje w Auvers
pola pod szafirowym niebem

niebo
coraz go więcej

coraz bardziej cięży
osiąga
nieprzejrzystość i gęstość
emalii

a ziemia
ziemia tymczasem
jest bardziej niż zazwyczaj czuła

miękkie seledyny i ugry
spłaszczone ciężarem chmur
uciekają ukośnie

pośrodku kilkanaście plamek
koloru krwi
maki
przelotnie i rozpaczliwie
żywe

Zygmunt Hanicki
MOST (Van Gogh)
„Przegląd Artystyczny” 1946, nr 8 - 9

Spokojnie, cicho, południem
Most łączy przeznaczeniem brzegi,
Osiągalne skokiem i kąpielą.
Po nim pani chłonna
Ciemną plamą skwar

Zwykła i napęczniała.

Gdy obłok zmiętych snów
Na horyzoncie

Nad jej głową stanie
Ściągnie go w tulipan
Parasola
Prośbą i siłą oczu,
By wygnieść olejek różany
Z rozety w podmiejski deszcz.
Wtedy z białego domu
Wyjdzie wysoki człowiek
I z trudem zerwie związek
Życia ze śmiercią
Ratując go przed powodzią
Przerzucając liny blokom
Liny cyprysom,
Rozciągając rozpręśla tęczy,
A woźnica zatnie konia
I potoczy turkotliwie wóz
Pod zacisze różowego dachu.

H. von Hofmannstahl, *List czwarty*, [w:] *Listy powracającego [Die Briefe des Zurückgeherten, 1907-08]*, przeł. M. Łukasiewicz, „Zeszyty Literackie” 1991, nr 1(33).

Mógłbym kupić fotografie tych obrazów i wysłać Ci, ale cóż by Ci dały, cóż powiedziałyby Ci same te obrazy o wrażeniu, jakie na mnie wywarły i jakie zapewne jest czymś całkiem osobistym, tajemnicą między moim losem, tymi obrazami a mną. Zaorane pole, wielka aleja pod zmierzchającym niebem, wąż z pokrzywionymi sosnami, kawałek ogrodu z widoczną tylną ścianą domu, chłopska furka z chudymi szkapami na pastwisku, miedziana misa i kamionkowy dzban, paru wieśniaków wokół stołu, jedzących kartofle — ale cóż Ci po tym? Czy mam Ci zatem opowiedzieć o barwach? Jest tu niewiarygodny, intensywny błękit, stale powracający, zieleń jak ze stopionych szmaragdów, kolor żółty przechodzący w pomarańczowy. Ale czym są barwy, jeżeli nie przebija w nich najbardziej wewnętrzne życie przedmiotów? I to najbardziej wewnętrzne życie tam było, drzewo, kamień, mur i dróżka ukazywały swoje wnętrza, niejako rzucały mi je, ale nie błogość i harmonię swego pięknego niemego życia, jaka tchnęła czasem ku mnie z dawnych płócien, niczym czarowna atmosfera; nie, moja dusza uczuła tylko furię ich istnienia, szaleńczy, niewiarygodny cud ich istnienia. Jakże mam Ci przekazać, że tu każda istota — a istotą było tu każde drzewo, każde pasmo żółtych czy zielonawych pól, każdy płot, każda ścieżka przecinająca pagórek, istotą był cynowy dzban, kamienna misa, stół, koślawe krzesło — wyłoniła się ku mnie jak nowo narodzona ze straszliwego chaosu nie - życia, z otchłani bezistotności, że czułem, nie — wiedziałem, iż każda z tych rzeczy, każdy z tych tworów zrodzony jest z okropnego zwątpienia i oto swym istnieniem na zawsze zakrywa ohydną czeluść, ziejącą nicość! Nie potrafię ani w połowie przekazać Ci, jak ten język przemówił do mojej duszy, ofiarowując mi gigantyczne wytłumaczenie moich najdziwniejszych, najbardziej zawitych wewnętrznych stanów, pozwalając mi w nagłym olśnieniu pojąć to, co przytłaczało mnie od wewnątrz zmorą nie do zniesienia, a czego przecież, choć tak dotkliwie to odczuwałem, nie mogłem z siebie wydrzeć — a tu nieznana dusza o nieuchwytniej sile udzieliła mi odpowiedzi, dała mi w

odpowiedzi cały świat! Byłem jak ktoś, kto dostawszy się w bezdenny wir znowu wyczuwa pod stopami twardy grunt, jak ktoś, kto znalazł się pośród szalejącej burzy i okrzykami radości łączy się z tym szaleństwem. W burzy rodziły się na moich oczach, dla mnie rodziły się te drzewa, wczepione korzeniami w ziemię, gałęziami uczone obłoków, burza złościła te wąwozy, te doliny między pagórkami, w skłębionych blokach skalnych trwała jeszcze zastygła nawałnica. I oto idąc od obrazu do obrazu mogłem czuć owo coś, czuć przemieszanie, splątanie tworów, czuć, jak ich wewnętrzne życie wybucha barwami i jak każda z barw żyje ze względu na inne, i mogłem we wszystkich wyczuć serce, wyczuć duszę tego, kto to zrobił, kto tą wizją sam sobie odpowiedział na spazm najstraszliwszego zwątpienia, mogłem czuć, mogłem wiedzieć, przejrzeć na wskroś, napawać się otchłaniami i szczytami, wewnętrzną i zewnętrzną stroną rzeczy, każdą z nich z osobna i wszystkimi razem w tysięcznym ledwie ułamku czasu, jakiego trzeba mi teraz na pisanie, i byłem jak podwojony, byłem panem swego życia, panem swych sił, swego rozumu, czułem, jak czas upływa, wiedziałem, że mam jeszcze dwadzieścia minut, dziesięć, pięć — wyszedłem, przywołałem fiakra, odjechałem.